Zrealizowano w ramach stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Fragment powieści *Mur*

Spałem i coś mi się śniło. Wiem, że to sen, bo widziałem rzeczy, o których istnieniu wcześniej nie miałem pojęcia. Aż do dzisiaj nie potrafiłbym ich nawet nazwać.

Przebudzenie okazało się bolesne. Lewa ręka była spuchnięta, choć na szczęście nie na skutek złamania. Ból ogniskował się na twarzy. Wyczułem pod palcami krzywizny i obrzmienia. Na nosie sterczał duży opatrunek.

Pokuśtykałem do łazienki. Nie poznałem się w lustrze. Szarpnięciem ściągnąłem opatrunek i przyjrzałem się temu, co się pod nim kryło. Złamany, opuchnięty nos, z garbem pośrodku. Rozległe place pod oczami przybrały fioletową barwę. Wypatrzyłem dziwne ciemne plamy na głowie. Odkręciłem wodę w kranie, namoczyłem dłoń i próbowałem plamy zmyć, ale nie dawały się usunąć. Obmacałem je dokładnie. W dotyku przypominały meszek widywany na powierzchni niektórych miękkich tkanin. Cofnąłem się przed lustrem, na ile mogłem, i dokładnie się obejrzałem. Po dokładnych oględzinach podobny meszek odkryłem na skórze w dole podbrzusza.

Wszedłem pod prysznic, ale po kilku minutach zrezygnowałem ostatecznie z prób usunięcia ciemnawego meszku mydłem. Z zamkniętymi oczami, jakby to miało odpędzić niechciane obrazy i dźwięki, długo stałem bez ruchu pod kratownicą. Zimna woda przynosiła ulgę.

Nie patrząc więcej w lustro, wytarłem się do sucha ręcznikiem i poszedłem do przedpokoju. Z podajnika na ubranie wyjąłem dostarczony czysty komplet: spodnie i luźna bluza w czarnym kolorze. Bezskutecznie próbowałem odgadnąć, co z wyborem takiej barwy może się wiązać.

W kuchennej windzie znalazłem tacę z opakowanym w folię jedzeniem na talerzu. Podgrzałem całość w kuchence, zaniosłem na stół, zdjąłem folię, wróciłem do kuchni po sztućce i usiadłem przy stole. Zacząłem od białej masy. Wyglądała nieapetycznie, ale smak miała zachęcający. Kotlet pachniał i smakował jak żadna wcześniej potrawa mięsna z soi. Kroiłem go na drobne porcje, nadziewałem kawałek po kawałku na widelec i powoli podnosiłem do ust, nosem wciągając powietrze, żeby jak najdłużej zatrzymać zapach.

Na Ekranie zobaczyłem moją powiększoną twarz. Ociekałem krwią, ale nos miałem nienaruszony. Stałem na platformie i walczyłem z wysokim, mocno zbudowanym albinosem. Wąską, szczupłą twarz miał jak powleczoną wapnem, białe tęczówki przydawały mu wygląd ślepca. Widziałem go pierwszy raz w życiu. Chwycił mnie w pół i usiłował przewrócić. Błyskawicznie okręciłem się w prawo, zrywając uchwyt, kolanem kopnąłem go w wątrobę, potem uderzyłem od dołu w szczękę, drugą ręką trafiłem w skroń. Przewrócił się i tak zastygł. Podniosłem ręce w geście zwycięstwa, zanim jeszcze zepchnąłem go nogą w dół. Niemal w tej samej chwili wyrósł przy mnie Sędzia, rękawem czerwonej szaty starł mi z twarzy krew, zakrwawiony rękaw przeciągnął sobie po czole i teraz on podniósł mi obie ręce w górę i do dziwnie cichych trybun, do widzów trzymających dłonie do oklasków, do szczątków tych, których przemieliły cierpliwe tryby maszynerii, powiedział:

Oto zwycięzca!

Przełknąłem ostatni kęs i zdążyłem odsunąć talerz, kiedy zza pleców dobiegł mnie podejrzany hałas.

Nie odwracaj się, usłyszałem. Rozległ się stukot ciężkich butów. Strażnicy. Co najmniej dwóch.

Na Ekranie Sędzia zakładał mi na szyję wieniec z czerwonych kwiatów. Tyle zdążyłem zobaczyć, zanim zawiązali mi na oczach czarną opaskę. Potem skrępowali postronkiem ręce w przodzie i kazali powstać.

Wyprowadzili mnie na korytarz.

Nie licz kroków, przestrzegł mnie ten sam głos.

Okręcili mną kilka razy i poprowadzili na postronku. Przez cały czas nie zamienili ze sobą ani słowa. Brzęczyk obwieścił, że otwierają się jakieś drzwi. Nie wymacałem nogą progu. Zamiast świeżego powietrza ten sam odór korytarzy. Stukali buciorami na betonowej podłodze. Skręciliśmy w prawo, potem raz za razem w lewo. Stanęliśmy i zazgrzytał klucz w zamku. Ruszyliśmy dalej. Stąpali teraz ciszej. Gumowana wykładzina. Nie usłyszałem, kiedy się zatrzymali.

Stój!, osadził mnie w miejscu krzyk.

Któryś zapukał. Nie wiem, czy doczekał się odpowiedzi, w każdym razie zazgrzytały otwierane drzwi. Pociągnięty za postronek, zrobiłem trzy kroki przed siebie.

Rozwiążcie mu ręce, rozkazał Sędzia. I zostawcie nas samych.

Drzwi ze zgrzytem się zamknęły. Stałem tam, gdzie mnie zostawili, masując obolałe przeguby.

Zdejmij opaskę, powiedział.

Zrobiłem, jak kazał. Niski, prawie pozbawiony mebli pokój, o pobielanych ścianach i podłodze wylanej cementem, przypominał raczej piwnicę. Przeciwległy koniec, z zarysem szafy i długiego metalowego łóżka, ginął w półmroku. Paliła się podłogowa lampa ustawiona przy etażerce, nad meblem górowało duże, owalne lustro. Przed lustrem, na wysokim kwadratowym taborecie, siedział Sędzia, zupełnie nagi. Widziałem jego szerokie plecy, fałdy tłuszczu na biodrach, białe, rozlewające się pośladki.

Podejdź, powiedział, nie przerywając tego, co robił.

Podsunął mi stołek. Podszedłem i usiadłem.

Nie zwracając na mnie uwagi, powolnymi ruchami palców dokończył rozprowadzać na głowie mydło z tubki. Z metalowej podstawki na etażerce wziął długie, osadzone w oprawce ostrze i zaczął nim wprawnie skrobać po skórze czaszki, usuwając mydło. Patrzyłem zafascynowany i przerażony, pewny, że zaraz poleje się krew.

Bałem się zadawać pytania. Wyczuł moją ciekawość, bo powiedział:

Zgalam włosy. Ciebie też to czeka.

Nie rozumiem.

Odwrócił się do mnie bokiem i wolną ręką przeciągnął po meszku porastającym mi głowę.

Na pewno sam już dostrzegłeś, powiedział. Te oraz inne objawy. Chociaż wciąż nie masz pojęcia, co to oznacza.

Zmoczył rąbek ręcznika w miseczce z wodą, ręcznikiem dokładnie wytarł głowę z resztek mydła. Następnie mydło z tubki nałożył na policzki i podbródek, oczyścił ostrze i zaczął golić twarz. Kiedy skończył, ostrze odłożył na podstawkę, przetarł twarz ręcznikiem, sięgnął po flakonik i spryskał sobie twarz.

Poczekaj, powiedział.

Dźwignął się nad podziw lekko. Przez chwilę stał nade mną, ogromny, z wielkimi obwisłymi piersiami, wsparty na klocowatych nogach poprzecinanych fioletowymi siatkami żyłek, z łuszczącą się skórą na wystającym brzuchu, ręce opierając na pofałdowanych biodrach. W dole brzucha, nad dyndającym długim przyrodzeniem, kłębił się gąszcz włosów z nitkami siwizny. Zewnętrzną stronę lewego uda szpeciła nieregularna blizna. Stał i przyglądał mi się bez słowa. Potem mnie wyminął i podszedł do słabo widocznej w półmroku szafy w końcu pokoju. Słyszałem, jak posapuje, szeleszcząc materiałem. Wrócił ubrany w czarne spodnie i czarną, luźną bluzę. Minął mnie bosy, lekko stawiając długie, bardzo wąskie stopy. Nie spojrzał na etażerkę, by się upewnić, czy ostrze nadal spoczywa na metalowej podstawce.

W każdym razie tak myślałem do czasu, aż się odezwał, nie odwracając głowy.

Nie dotrzymujesz przysiąg, powiedział. Teraz na mnie spojrzał i w jego jasnoniebieskich oczach dostrzegłem chyba rozczarowanie. Lepsza sposobność już ci się nie trafi, dodał.

Dał mi znak ręką, bym mu towarzyszył. Otworzył drzwi i zapuścił się na korytarz. Poszedłem za nim.

Korytarz był niewysoki, wąski, z licznymi odnogami, dość dobrze oświetlony rozmieszczonymi co kilkanaście kroków lampami w drucianej oprawie. Sędzia podążał pewnie naprzód, w labiryncie zwodniczo podobnych do siebie korytarzy bez wahania wybierając właściwy. Szliśmy długo i zacząłem podejrzewać, że celowo kluczy, żebym nie zapamiętał drogi. Jakby czytał mi w myślach, obejrzał się i uśmiechnął. Skręcił w prawo, w półmrok ślepego korytarza, i pchnął niskie metalowe drzwi u jego wylotu. Pochylając głowę, wślizgnął się do środka i usunął się, robiąc mi miejsce. Przekroczyłem próg i drzwi zaraz się za mną zamknęły.

Stałem tam, gdzie się zatrzymałem. Próbowałem przebić wzrokiem ciemność. Rozległ się jednostajny szmer i niemal jednocześnie pojawiła się wąska, pozioma smuga światła. Smuga poszerzała się. Sędzia stał kilka kroków przede mną i pociągał za sznurek rolety. Kiedy podniósł ją do końca, zrobiło się widno. Staliśmy w małym, przypominającym klatkę pokoju, bez okna i mebli. Światło dochodziło z bliźniaczego pomieszczenia, od którego oddzielała nas ściana z dużą szybą.

Nie widzi nas, powiedział Sędzia.

Ustawione przy lewej ścianie łóżko, przykryte białym prześcieradłem i zarzucone różnej wielkości poduszkami, zajmowało połowę pomieszczenia za szybą. Kobieta przysiadła na brzegu łóżka. Rozpuszczone, czarne włosy sięgały do połowy nagich pleców, z przodu przykrywały piersi. Patrzyła w podłogę, dłońmi ciasno oplatała chude kolana. Biodra, uda i ugniatające materac łóżka pośladki na tle bieli prześcieradła wydawały się jak pociągnięte różem. Nie mogłem przestać patrzeć.

Kiedy otworzyły się drzwi i wszedł Kapitan, nawet nie podniosła głowy. Zaczął się rozbierać. Każdą sztukę ubrania starannie składał i umieszczał w rogu łóżka. Zanim zdjął bokserki, coś do niej powiedział. Drgnęła i rozejrzała się, szukając źródła głosu. Wyciągnęła się na prześcieradle, głową do drzwi, podciągnęła kolana i rozchyliła nogi.

Porośnięty czarnymi włosami wzgórek przyrodzenia otworzył się jak przecięty na pół. Przywarłem czołem do zimnej szyby.

Właśnie przed tym chciałem cię uchronić, powiedział Sędzia. Każdy z nas prędzej czy później staje się przez to niewolnikiem. Kapitan nie jest wyjątkiem.

Kapitan znowu coś mówił, szybko poruszając ustami. Kobieta zsunęła się z łóżka i uklękła. Ręce oparła o łóżko, głowę ukryła między ramionami.

Był teraz zwrócony do mnie bokiem. Twarz i szyję miał w czerwonych plamach. Sztywne przyrodzenie drgało, jakby żyło własnym życiem.

Opadł na kolana i zaraz przywarł do kobiety. Rękami odszukał jej piersi i na moment znieruchomiał. Raptem się odsunął, chwycił ją za biodra, gwałtownym ruchem przyciągnął do siebie i jednocześnie sam naparł, jakby chciał przygwoździć ją do łóżka. Wygięła plecy, ale reszta ciała pozostała dziwnie statyczna. Lewą ręką złapał ją za włosy, szarpnięciem poderwał głowę kobiety do góry, aż na jej wygiętej w łuk szyi wystąpiły żyły, i zaczął rytmicznie przeć biodrami. Próbowała się wyzwolić. Kapitan nie poluzował uścisku i jeszcze przyspieszył ruchy.

Chwyciłem Sędziego za ramię.

Zrób coś!, jęknąłem. Przecież ją zabije!

Roześmiał się. Nic jej nie będzie, zapewnił. A niby do czego innego zostały stworzone?

Spostrzegłem, że mi się przygląda. Domyśliłem się, na co patrzy. Widzę, że chętnie byś go zastąpił, powiedział.

Niedobrze mi. Jestem chory.

To nie choroba, zaprzeczył. Pociągnął za sznurek i roleta zaczęła opadać.

Zostaw!, zaprotestowałem.

Nie posłuchał.

Czego chcesz?, wyrzuciłem wreszcie z siebie to pytanie, bo ciemność dodawała mi odwagi.

Przywracam cię do życia, powiedział. Albo uśmiercam, jeśli upierasz się tak to widzieć. To żadna magia. Jedynie oddziaływanie chemii i zmienionej diety, powiedział. Od tygodni otrzymujesz inne leki. Hormony. Stymulanty. Zamiast syntetycznych zestawów dostajesz potrawy z naturalnych produktów, powiedział. Jesz prawdziwe mięso. Zacząłeś marzyć. Nachodzą cię sny, w których widzisz takie jak ta kobiety i siebie na miejscu Kapitana, zakończył.

Śni mi się coś jeszcze, powiedziałem, żeby zrobić mu na złość, bo jeszcze chwilę wcześniej nie zamierzałem niczego przed nim wyjawiać.

Opowiedz.

Widzę psy. W snach biegam i bawię się z nimi. Jestem dzieckiem, ale psy słuchają moich poleceń.

Zaśmiał się. Zabrzmiało to nieszczerze. To produkt twojej wyobraźni, zapewnił. Projekcja marzeń. Psy można dziś oglądać tylko w muzeum historii naturalnej.

Rozmawiam z nimi.

Sam widzisz. Czysta fantazja.

Każdy nosi inne imię. Tego nie mogłem wymyślić.

Powiesz, jak się nazywają? W głosie Sędziego wyczułem napięcie.

Nie. Napawałem się niepewnością malującą się na jego twarzy. Jeszcze nie tym razem, dokończyłem.